

Koszty istnienia. Polityka prorodzinna jako fundament reformy państwa

Tomasz Rowiński

¹ Jedną z informacji trafnie skomentował na Facebooku Paweł Milcarek: „Uwagi ministra finansów do przygotowanego przez Ministerstwo Rodziny programu «+500». Szałamacha to nie jest *bad guy*, więc spodziewałbym się po nim raczej czegoś dobrego, ale... Poza różnymi rzeczowymi uwagami jest jedna taka, która po prostu zmienia logikę całego tego programu, znaną nam przecież z wielu krajów europejskich, w których

rozumie się, że jest to dokładnie «dodatek na dziecko», a nie zapomoga dla uboższych rodzin: otóż min. Szałamacha proponuje, żeby wprowadzić kryterium dochodowe (już nie to przy pierwszym dziecku, ale w ogóle), tym razem w sensie «do jakiej wysokości dochodu rodziny świadczenie jest udzielane?». Domyślamy się, że chodzi o wykluczenie bogaczy (nie wiem, czy sprawiedliwe, ale na pewno łatwe do demagogicznego wybronięcia) – lecz zaraz pojawia się pytanie: czy jest ich aż tak wielu, żeby tworzyć samo w sobie kosztowne kryterium selekcji dla programu? Ponieważ nie ma to sensu, a wierzymy w zmysł praktyczny min. Szałamachy, więc pojawia się pytanie następne: kto będzie «bogaczem» w tych kryteriach? Jak nisko zostanie postawiona poprzeczka, żeby opłacało się ją w ogóle stawiać? Nie chciałbym mieć w ogóle takich podejrzeń, ale... Jedno, co wiemy w tej chwili na pewno, to to, że Min[isterstwo] Fin[ansów] rozumie program «500+» w kategoriach pomocy socjalnej, a nie – pojawiającego się u nas po raz pierwszy, a funkcjonującego w Europie od dawna – ekonomicznego wspierania rodzin w wychowywaniu dzieci. To na razie tylko uwagi ministra, zobaczymy, czy zdemolują one program, o którym mówiono w kampanii wyborczej. Ważny egzamin!” [data publikacji: 29.12.2015].

Dobiegające co jakiś czas do opinii publicznej odgłosy wewnętrznej dyskusji na temat programu polityki prorodzinnej i coraz bliższego realizacji projektu „Rodzina 500+” wskazują, że ten centralny w kampanii wyborczej do parlamentu pomysł (a także ta wyborcza obietnica) Prawa i Sprawiedliwości na „dobrą zmianę” to cel dość ambitny jak na warunki polskiego budżetu i systemu fiskalnego, ale też szerzej, porządków panujących w naszym państwie. Ambitny także z perspektywy poziomu myślenia i działania oraz charakterystyki polskiej klasy politycznej. Szum nieustannie towarzyszący „Rodzinie 500+” jest też, jak się zdaje, pewnym wyznacznikiem znaczenia tego projektu dla obecnego rządu nie tylko w perspektywie deklaracji, ale i hierarchii realnych zadań do wykonania¹. Być może ktoś chciałby podważać intencje, dla których jest on wprowadzany w życie, są one jednak sprawą zupełnie drugorzędną, skoro całość – środków i celu – spełnia prosty test wiarygodności,

a także, w naszej polskiej skali, test polityki ambitnej. Skoro polityka ambitna nie jest polityką łatwą, to przebicia informacyjne, które do nas docierają, jako widoczne znaki jednego czy drugiego zwarcia pomiędzy ministrami, są zrozumiałe. Polityka łatwa, choćby w jej liberalnym wydaniu, usiłuje jedynie administrować tym, co dostępne, bez stawiania pytań, co dostępne być powinno. Usiłuje dryfować bezkolizyjnie w zgodzie z rzekomo niesterowanymi prądami przemian kulturowych i surfować na nieco bardziej krótkoterminowych falach społecznych emocji².

Logika państwa

Trzeba dodać, że polityka prorodzinna to tylko jeden element szerokiego frontu reform, których Polska potrzebuje, by wyjść z dotychczasowej, wyczerpującej swój sens, logiki kierującej naszym państwem. Jest to logika, którą w najbardziej oczywisty sposób można nazwać „transformacyjną”. Opiera się ona na implementacji narzędzi zakorzenionych w neoliberalnej racjonalności, stosującej się zarówno do relacji pomiędzy państwem i społeczeństwem, państwem a rynkami czy wreszcie państwem a innymi – szczególnie zamożniejszymi – państwami. Narzędzia jednak rzadko nie posiadają znamion własności, a te, zwykle skrywane, są do odkrycia choćby w racjonalności celów przez nie zdeteminowanych. „Zachód” wytworzył liczne mechanizmy oferujące uboższym regionom świata perspektywę rozwoju, a jednocześnie służące kolonizacji gospodarczej i politycznej w warunkach epoki postwojennej i... postkolonialnej³. Polska transformacyjna jest

poniosła. A gdy coś się zmienia, przeskoczyć na inną falę. W myśl tej filozofii polityk nie jest żeglarzem, który co prawda w zależności od wiatru musi ustawić ster i żagiel, ale przynajmniej wie, dokąd płynię. Czy w pańskiej wizji – także tej osobistej – tym, co pana przyciągnęło do bycia w polityce, choć może nie w pierwszej linii, przywódca to ktoś, kto stara się iść na czele tego społeczeństwa? Nie w sposób dyktatorski, tylko właśnie przekonując do swojej wizji, którą uważa za prawdziwą, nawet jeżeli nie podziela jej ogół społeczeństwa. Czy pan uważa, że w Polsce możliwy jest tylko ten pierwszy rodzaj polityki – «iść za społeczeństwem», a nigdy «na jego czele»?».

³ Pisałem o tym w tekście *Odzyskanie suwerenności wciąż przed nami. Uwagi po zaprzysiężeniu rządu*, christianitas.org, 17.11.2015: „Rządy Donalda Tuska i Ewy Kopacz zadekretowane [...], jako przełamanie 300 lat niemocy polskiej polityki wydają się raczej kontynuacją niesuwerenności – zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej – w tym gospodarczej. Uległość wobec Niemiec, słabość organów państwa, np. wobec funduszy kolonizacyjnych, sączących do naszego kraju za pośrednictwem trzeciego sektora problemy bogatych krajów europejskich, wreszcie

² Ten rodzaj myślenia i działania dobrze scharakteryzował Marcin Celiński, liberalny publicysta pisma „Liberte!”, w rozmowie z Bartłomiejem Sienkiewiczem (*Nie możemy od polityków wymagać, żeby byli politycznymi samobójcami*!, „Liberte!”, 10.06.2015), głównym w tej chwili intelektualistą broniącym dorobku rządów Platformy Obywatelskiej: „To, co mówi pan, i to, co mówił Donald Tusk, odbieram jako pewną filozofię polityki, w myśl której polityk powinien tak naprawdę iść za społeczeństwem, być surferem, który patrzy, gdzie jest fala, i na nią wskakiwać. Nie wyznaczać sobie żadnego kierunku, tylko obserwować falę i korzystać z niej, by go

kolonizacja ekonomiczna pod hasłem inwestycji przeprowadzanych przez światowe koncerny i korporacje. To obraz ostatniego ćwierćwiecza, ale i ostatnich ośmiu lat polityki w Polsce, niezmiennie realizującej programy transformacyjne służące do przebudowania Polski w posłuszny ideologicznie kraj zaplecza dla rynków europejskich”.

⁴ Nasze relacje z Unią Europejską i mit, wedle którego jesteśmy znaczącym beneficjentem jej funduszy pomocowych, w ostatnim czasie został

zakwestionowany przez jednego z najważniejszych ministrów polskiego rządu. Wicepremier Mateusz Morawiecki tak wypowiedział się na temat pieniędzy brukselskich w wywiadzie *Ubolewam nad tym, że mamy do czynienia ze zjawiskiem donoszenia na własny kraj* dla „Polska. The Times” z 30.12.2015: „Tylko że to jest rocznie od 20 do 30 mld zł, czyli niecałe 2 proc. naszego PKB. A i te środki nie zostają w Polsce w całości, bo przecież w konkursach o te pieniądze biorą udział koncerny zagraniczne. Tylko w latach 2007–2013 niemieckie firmy zdobyły u nas kontrakty o łącznej wartości 20 mld zł. W tym samym czasie polskie przedsiębiorstwa zdobyły w Niemczech kontrakty warte 200 mln zł – 1 proc. tej sumy. Widać, że używamy złego języka. Mówimy o tym, jak dużo dostajemy z UE, a tymczasem okazuje się, że wejście do Unii sprawiło, że staliśmy się fantastycznym rynkiem ekspansji dla firm zachodnich. Uzyskały one pewność regulacji w naszym kraju i słaby rynek, który został w wielu branżach przez nie zdominowany. Raport bardzo mainstreamowego think tanku FOR pokazuje nawet, że napływ środków z UE przyczynia się do niewłaściwej alokacji zasobów i być może jest nawet marginalny”. Kilka tygodni wcześniej pisałem o tym samym problemie w felietonie *Okruchy suwerenności* opublikowanym na christianitas.org, 03.12.2015: „Dziwne, że nie zauważa się, kto jest rzeczywistym beneficjentem 25 lat «polskiej transformacji». Są nimi kraje Unii (niektóre można by wymienić szczególnie), a unijne dopłaty, fundusze etc., które miałyby być taką wielką łaską dla nas, nowym planem Marshalla, to jednak jałmużna na uspokojenie sumień – bogatych jako panów i naszych jako niewolników – ewentualnie kolonizatorów i skolonizowanych. Korzyści, jakie przedsiębiorstwa – choćby niemieckie – osiągnęły, dominując liczne obszary naszego życia gospodarczego, to są dopiero «dopłaty» osiągnane kosztem naszej pracy, a za pomocą przewagi kapitału”. Jak widać, szczęśliwie problem został jednak zauważony.

właśnie takim zlepkiem rozmaitych narzędzi reprezentujących interesy znajdujące się na antypodach dobra wspólnego Polaków, racji stanu i interesu państwa. Dlatego reform otwierających nową epokę powinno być wiele i opierać się one powinny choćby na potwierdzeniu bezpieczeństwa waluty narodowej i jej miejsca w polityce państwa oraz na celach, dla których pracuje obecny w Polsce kapitał. Jednym z symboli takich reform jest choćby likwidacja urzędu pełnomocnika ds. wprowadzania euro⁴. Choć znaczenie tego gestu pozostaje przede wszystkim symboliczne, to określa ono miejsce suwerenności w perspektywie celów rządu Beaty Szydło. Wszystkie bliższe i dalsze reformy powinny się sprowadzać do pracy nad wprowadzaniem racjonalności właściwej polskiemu państwu. W wielu obszarach wymaga ona dopiero opracowania, choć na podstawie znanych już pryncypiów. Pryncypia jednak nie wystarczą, wymagają one operacjonalizacji.

Transformacja, imitacja, suwerenność

Spodziewam się, że z wielu konkretnych zmian, potrzebnych Polsce już w najbliższym czasie, jeszcze sobie do końca nie zdajemy sprawy. Nie wyobrażamy sobie ich zbyt konkretnie, ponieważ dopiero zmiana logiki w kilku newralgicznych punktach działania państwa odsłoni niesuwerenny charakter procesów dziejących się pod jego parasolem. Niesuwerennych, czyli pozostających poza kontrolą, niekoniecznie w zgodzie z interesami i dobrem wspólnym Polaków – posługując się kategorią racjonalności: niezrozumiałych oraz niekoherentnych. Dzisiejsza obecność tych procesów i obcych racjonalności w znacznej mierze wiąże się z rewolucją postkomunistyczną, której zasadniczym celem było oddanie rządów, a zatem i odpowiedzialności politycznej, w zamian za zachowanie władzy nad kapitałem (także społecznym) dla beneficjentów rewolucji 1945 roku (co do której niesuwerennego charakteru nikt chyba nie ma wątpliwości). Podobne cele musiały przyświecać europejskim imperiom w epoce dekolonizacji politycznej. Jeśli totalitaryzm zdefiniujemy jako skrajny partykularyzm – istnienie i działanie państwa w interesie stosunkowo wąskiej grupy beneficjentów, to rewolucja postkomunistyczna miała być przejściem od totalitaryzmu socjalistycznego do demokratycznego, w którym demokrację definiowano *implicite* jako kontrolowaną grę pomiędzy grupami (dawną nomenklaturą i częścią opozycji o rewizjonistycznej przeszłości) zainteresowanymi utrzymaniem struktury klasowego *status quo* z czasów PRL⁵. W grze tej wykorzystywano m.in. pożyczone z obcych racjonalności narzędzia gospodarcze i polityczne. Gra w polityce podlega kontroli, jednak tylko w bardzo ograniczonym zakresie, zaś poza kontrolą jest czas, czyli zmiany pokoleniowe. Zresztą poza kontrolą na dobre i na złe – kulturowa reprodukcja etosu zwykle jest czymś innym, niż się oczekuje.

To wszystko oznacza, że działanie polskiego państwa determinują dynamiki zupełnie sprzeczne i przeciwne celom znajdującym się choćby u źródła polityki prorodzinnej, ustanowionej jako priorytet rządu Beaty Szydło, ponieważ polityka prorodzinna jest *implicite* polityką suwerenną. Oznacza to także, że do jej uruchomienia konieczna jest suwerenna racjonalność, której elementy w ciele polskiego państwa są rozproszone, poza, być

⁵ Znakomitym opisem tych procesów pozostaje od lat książka Jadwigi Staniszkis *Postkomunizm*, Gdańsk 2005 (wyd. 2).

⁶ Taką wolność miałem na myśli, gdy przed kilku laty pisałem: „Geopolityka jest, owszem, ważna i jest dyscypliną zajmującą, ale geopolityka w praktyce politycznej rozpoczyna się od «małej polityki», polityki wewnętrznej. Szeroko rozumiana sprawność ustrojowa, sprawność w cnotach ludzi zajmujących się sprawami publicznymi, wewnętrzna spójność formy i treści narodowego bytu, nakierowanie na sprawiedliwość i zapewne wiele jeszcze elementów, które można by tu wymienić, stanowią o wolności politycznej narodu. Jest to tego rodzaju wolność zbiorowa, która pozwala spojrzeć

na geopolitykę i sprawy międzynarodowe nie tylko jak na widowiskowy spektakl sił zewnętrznych, poruszających bezradnie dryfujące nasze własne polityczne istnienie. Wolność polityczna narodu jest miarą zdolności niezależnego działania w skali swoich możliwości, oddziaływania na innych i przeprowadzania maksymalnie sprawiedliwych rządów w swoich granicach”, *Postkomunizm, neokomunizm i mity III RP*, „Christianitas”, nr 45-46/2011, s. 97.

może, ośrodkiem rządowym. Z pewnością żyje ona też w różnych „obszarach” narodu, co jednak nie przekłada się na działanie mechanizmu państwowego, a jest zwykłą polską suwerennością narodową, znaną przynajmniej z ostatnich dwustu lat historii, kiedy polska państwowość nie miała skłonności, by istnieć. Tymczasem, mimo trudności i państwa funkcjonującego w stanie rozproszenia, „Rodzinę 500+” trzeba wprowadzić już, gdy choćby zasadnicza reforma wydatków publicznych czy więcej, całościowa reforma finansów państwa jak na razie jest poza dyskusją publiczną. W każdym razie jest ona mniej obecna niż „kontr-reforma” innych instytucji, która stała się symbolem pierwszych tygodni rządów Prawa i Sprawiedliwości. Oczywiście elementy tej dyskusji są obecne w działaniach rządu, np. w postaci wprowadzonych ustaw o podatku bankowym, hipermarketowym czy propozycjach uszczelnienia systemu fiskalnego. Jednak zależność prawdopodobnie najważniejszego projektu rządu Beaty Szydło od zmian w innych obszarach polityki finansowej państwa, i to zmian wyłamujących się z dotychczasowych 25 lat logiki imitacji i „transformacji”, sygnalizuje kondycję, w jakiej się znajdujemy. Suwerenność nieuchronnie wiąże się z odzyskiwaniem wolności wewnętrznej państwa⁶. Przywrócenie jej w jednym miejscu pociąga za sobą konieczność budowania jej w innym. Wolność wewnętrzna państwa to obszar, w którym działa ono z własną, koherentną racjonalnością przekładającą się na politykę – rozumianą tutaj także jako zespół własnych narzędzi, a nie jedynie takich, którymi się administruje, ponieważ są tylko przekazane z zewnątrz „w użytkowanie”. Suwerenność to także odpowiedniość państwa formie narodu, któremu służy.

Ten jeden projekt okazuje się wezwaniem do wysiłku zasadniczego – być może musi się on dokonać jako rodzaj wyłomu narzucającego otoczeniu nowe suwerenne mechanizmy. To właśnie „Rodzina 500+” (razem z pozornie równie prozaicznym opodatkowaniem kapitału, czyli banków i handlu wielkopowierzch-

niowego) jest typem suwerennego projektu i załączka szerszej suwerenności Polski⁷, a nie spór z Trybunałem Konstytucyjnym lub mediami. Jak na razie, w obu tych przypadkach, nie ma uruchamiania nowej logiki, ale jedynie powtarzanie kontrolowanego w gruncie rzeczy procesu wymiany kadr, charakterystycznego w stylu dla państw słabych, utrzymywanych w niesterowności przez zewnętrzne interesy mające swoją reprezentację w mediach, rozmaitych funduszach kolonizacyjnych obecnych w trzecim sektorze, a także w ugrupowaniach politycznych korzystających ze słabej polskiej suwerenności.

Fundamentaliści transformacji

Z powyżej zarysowanych powodów trudno nie odnieść wrażenia, że Polska stoi być może wobec możliwości zmiany, której potencjalne znaczenie trudno przecenić w perspektywie historycznej. Zmiana ta może wyznaczyć koniec okresu definiowanego przez kierunek zapoczątkowany impulsem roku 1989 i pokolenie Okrągłego Stołu. Kończą się zarówno zasoby ludzkie tego pokolenia, jak i promieniowanie kapitału założycielskiego (duchowego i materialnego). Także ci, którzy weszli później (z racji wieku) w pola dystrybucji fruktów transformacji, choć ją kontynuują, są już innymi ludźmi – tak wygląda nieuchronne prawo reprodukcji kulturowej pokoleń, w którym zawsze, nawet w naśladownictwie, istnieje powtórzenie, ale i zmiana. Nie odgrywa się tych samych pól dokładnie tak samo, ponieważ kontekst także się zmienia. To jednak nie wszystko. Następuje zerwanie bezpośredniej relacji czy wręcz osobistego stosunku do wydarzeń fundujących mit założycielski. Na granicy politycznych pokoleń, która jest obecnie udziałem naszego doświadczenia, mit założycielski III RP zmienia dynamikę, słabnie lub przynajmniej porusza się już w inny sposób. Przez brak osobistego przeżycia mitu w historii nowe pokolenie jest też bardziej zindywidualizowane w działaniu i przeżywaniu etosu swojego środowiska – waha się między idealizmem a cynizmem. Te dwie skrajności nie muszą się zresztą wykluczać. Część przedstawicieli nowego pokolenia w ogóle już

⁷ Mówił o tym wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej Bartosz Marczuk na łamach „Rzeczpospolitej” w artykule *Przełamujemy niemoc*, z 3.01.2016 [data dostępu: 15.01.2016]: „Drugi fundament naszego myślenia opiera się na zerwaniu z przekonaniem, że polityka rodzinna jest równoznaczna z polityką socjalną, a pieniądze na nią wydane zniechęcają do aktywności zawodowej. Premier Beata Szydło podkreśla, że polityka rodzinna to inwestycja. To fundamentalne spostrzeżenie, które potwierdza nie tylko intuicja – jeśli inwestujemy w ludzi, budujemy silne państwo, ale także liczne badania, m.in. ostatnie doświadczenia z Kanady, opracowania Parlamentu Europejskiego czy OECD. Także doświadczenia międzynarodowe podpowiadają: jeśli wydajemy pieniądze na rodziny, poprawia się jakość ich życia oraz rodzi się więcej dzieci. Mówią też

o tym polskie opracowania, choćby tegoroczne raporty PwC czy Instytutu Ordo Iuris (wszystkie te opracowania są dostępne na stronie resortu pracy w zakładce Rodzina 500+)”.

⁸ „Dlaczego neokomunizm?

Pozwoliłem sobie na powrót do pojęcia neokomunizmu, który pojawia się w słowach Jarosława Kaczyńskiego z debaty w dzienniku «Życie». Czy jest ono potrzebne? Pamiętając o przestroгах Piusa XI o ciągłości i związkach pewnych idei, raczej tak. Teraz, na koniec, trzeba wyjaśnić to jeszcze z innej perspektywy niż na wstępie. Przede wszystkim sam postkomunizm odnosi nas do przeszłości, do tego, co minęło – znaczeniowo sprawia wrażenie, że utraciło swoją zasadniczą siłę, zdegenerowało się i nie warto brać

tego poważnie – wydaje się, że w tym właśnie kluczu nastąpiło wyeliminowanie postkomunizmu z języka PiS przez Jarosława Kaczyńskiego w kampanii wyborczej na urząd prezydenta 2010. Ponieważ jesteśmy świadkami procesów znacznie szerszych niż polityka polska, w które polski postkomunizm zaczął się wpisywać, nie możemy ulegać złudzeniu. Postkomunizm czerpie z dorobku PRL, ale także wchodzi w posiadanie zasobów neokomunizmu europejskiego. Oczywiście można by mówić także o postkomunizmie europejskim w sensie zachodnim, tak jak mówimy o europejskiej postpolityce, jednak nie byłoby to dostatecznie zrozumiałe. Europejski postkomunizm, o którym już wspominałem, należałoby datować od lat sześćdziesiątych, kiedy zaczęło się przeformułowywanie teorii klasowej z robotniczej (Giddens) na seksualną (Marcuse). Postkomunizm sugerowałby schyłkowość, podczas gdy ruch komunistyczny w Europie w swojej wersji krytycznej zyskał nową siłę i dopiero teraz sięga po wyżyny władzy, które komunizm naszej części Europy w swojej zasadniczej postaci ma już za sobą. Jeśli potrzebujemy przedrostka, to powinien to być przedrostek *neo-* właśnie. Przytoczmy krótką definicję: *Dzisiejszy [...] neokomunizm dostosowany do „standardów europejskich, jest [...] oligarchiczny w sferze zabezpieczającej realną władzę polityczną, ekonomiczną i kulturową, za parawanem demotelekracji i ochłokratyczny w zakresie tych „wolności”, które cała demooligarchia gwarantuje masom: konsumpcji materialnej w hipermarketach i „duchowej” w reality show*” (J. Bartyzel, głos w ankiecie *Od komunizmu totalitarnego do komunizmu demokratycznego*, „Christianitas”, nr 8, s. 13).

nie zauważa dynamiki poruszającej starszych od siebie kolegów i niejako „naturalizuje transformację”, jak również niektóre typy narracji określających ich stosunek do Polski. Podobnej „naturalizacji” uległ liberalizm Balcerowicza czy teoria wolnego rynku (będąca przecież jedynie bajecznym mitem kolonizacyjnym oderwanym od obserwowalnych w Polsce zależności kapitału, pracy i neoliberalnej praktyki). Nowe pokolenie posttransformacyjne zdążyło już także przetrząść mosty pomiędzy wyczerpującym się kapitałem odziedziczonym po PRL-u a grantem materialnym i duchowym wyznaczanym przez neokomunizm dystrybutorów zasobów z Unii Europejskiej. Ta zmiana punktu odniesienia alienuje opowieści założycielskie roku 1989 od „bazy” będącej ich doświadczeniem. Utrudnia także wielu obserwatorom dostrzeżenie, że takie ugrupowania jak Platforma Obywatelska i .Nowoczesna poruszają się w koleinach postkomunizmu, który dziś nazywać należałoby neokomunizmem ze względu na ideologiczną dominację rewizjonizmu komunistycznego w głównym nurcie polityki europejskiej. Co więcej, ten stan niesuwerennego neokomunizmu⁸ skleja się z najwyższymi wartościami parareligijnie przeżywaną „demokracją”. Taka opinia z pewnością wzbudzi sprzeciw części czytelników. Można przecież argumentować, że największą partią europejską jest partia chadecka, więc jak można mówić o neo-

komunizmie. Jednak trzeba zauważyć, że neokomunizm stał się od lat 70. swoistą „wulgatą” myślenia europejskiego, przy której takie czy inne etykiety partyjne nie mają praktycznego znaczenia. Chodzi bowiem znów o kontrolowany proces wymiany władzy pomiędzy zainteresowanymi grupami interesu definiowany jako demokracja.

Przedstawiciele młodszego pokolenia dwóch wymienionych powyżej partii są więc swoistymi „tradycjonalistami transformacji” – bronią transformacji jako jedynej rozumnej i koniecznej dziejowo logiki działania⁹ państwa i utożsamiają własną rentę

⁹ Gdy tymczasem dla ojców założycieli wybór „transformacji” był jedyny, ale z perspektywy określonego celu politycznego, a zatem już z tego powodu możemy powiedzieć, że nie miał on korzeni liberalnych. Potem przeszedł jednak w retorykę liberalną, choćby w haśle

antypolityki, a dalej już właśnie opowieści o bezalternatywności polskiej drogi po 1989 roku. Liberalna retoryka jest o tyle przydatna w markowaniu demokracji, że nie negując porządku demokracji politycznej, poszukuje takiej racjonalizacji zadań i działań, która faktycznie sprowadza samą demokrację do mechanizmu administracyjnego, a nie politycznego. Dość trafnie, w publicystycznym skrócie, krajobraz ideowy roku 1989 naszkicował Robert Kuraszkiewicz w swojej książce *Polityka nowoczesnego patriotyzmu* (Dębogóra, 2010, s. 28-29). Być może autor zbyt skupił się na osobie redaktora „Gazety Wyborczej”, Adama Michnika, jednak czytelnik zauważy, że chodzi o szersze środowiska. „Adam Michnik, jeden z najważniejszych przywódców solidarnościowej lewicy, tworzył w tym czasie obraz fałszywego wroga. Toczył z nim niepotrzebne boje przez wiele lat. Michnik uznał, że zagrożeniem dla wolności i demokracji w Polsce nie są pozostałości totalitarnego reżimu, ale polski katolicko-narodowy motłoch. W jego głowie powstała przerażająca wizja odradzającego się neoendeckiego antysemityzmu [...]. Odpowiedzią na to zagrożenie powinien być, jego zdaniem, sojusz z realną i postępową siłą społeczną, czyli postkomunistami. Była to wizja z gruntu nieprawdziwa, ale legła u podstaw ochrony i wspierania reformującej się post-PRL-owskiej lewicy. Michnik, a z nim duża część solidarnościowych elit, nie widział zagrożeń dla demokratycznego państwa, wynikających z przetrwania formalnych i nieformalnych układów partyjno-milicyjnych i moralnego skorumpowania aparatu prokuratorsko-sędziowskiego z czasów PRL. Wolał walczyć o demokrację z wymagowanym wrogiem, duchem Obozu Narodowo-Radykalnego. Jednocześnie trzeba zauważyć, że koncepcje polityczne Michnika wyływały z jego głębokich przekonań, a nie tylko z wymogów taktyki politycznej. Adam Michnik jest niewątpliwie jedną z najważniejszych postaci w historii polskiej radykalnej, niekomunistycznej lewicy XX wieku. To, co łączy radykalną lewicę w Polsce w całym XX wieku, to pewien model modernizacji. Model związany z dążeniami do przebudowy polskiego społeczeństwa w oparciu o etykę humanistyczną, oświeceniową filozofię postępu i praw człowieka. Wielu przedstawicieli radykalnej i lewicowej inteligencji podjęło nawet współpracę z obozem komunistycznym tuż po drugiej wojnie światowej. Wierzyli, że mimo swoich wad system totalitarnego komunizmu daje nadzieję na postępową przebudowę polskiego narodu. Zaangażowanie w system było dla nich ceną, którą byli gotowi zapłacić. Większość z nich szybko rozczarowała się komunizmem, ale nie pożegnali się ze swoim marzeniem. Marzeniem o Polsce, w której to nie etyka chrześcijańska będzie podstawą życia społecznego i publicznego i w której stereotyp Polaka-katolika nie będzie miał racji bytu. Michnik u progu wolnej Polski wyraźnie dostrzegł ten problem. Zastanawiał się, na jakich podstawach będzie budowana wolna Polska. Intuicyjnie i automatycznie narzucał się powrót do polskich tradycji niepodległościowych,

ale tego właśnie Michnik obawiał się najbardziej. W jego myśleniu był to najprostszy sposób, aby obudzić upiory polskiej przeszłości. Alternatywą był projekt wielkiej modernizacji. Politycznej i społecznej ucieczki do przodu. Jedynym partnerem dysponującym realnym zapleczem byli postkomuniści. Obrona interesów ugrupowań postkomunistycznych w Polsce przez Michnika nie wynikała tylko i wyłącznie z obrony przed polityką rewanżu ugrupowań prawicy. Była ochroną nowej formacji politycznej, która będzie mogła odegrać rolę sojusznika w wielkim dziele modernizacji cywilizacyjnej Polski [...].

Konsekwencje polityczne tej koncepcji były bardzo daleko idące. Spora część elit solidarnościowych przyznała, że pełna demokracja może przynieść więcej szkód niż pożytku. Czynnikiem decydującym był strach przed narodem. Nie można było oddać tak poważnej sprawy jak kształtowanie nowego rządu niepodległej Polski w ręce niedoświadczonych politycznie społeczeństwa. W efekcie dotrwaliśmy z kontraktowym sejmem do jesieni 1991 roku. Sejmem, który od dawna nie miał już legitymacji społecznej. Nie odebrano partiom dawnego reżimu majątku zgromadzonego w latach dyktatury. Doprowadziło to do ogromnej nierównowagi w możliwościach działania poszczególnych partii. Okazało się, że nowe demokratyczne partie, które powstały w wolnej Polsce, znalazły się w znacznie gorszej sytuacji niż formacje legalnie istniejące w PRL, będące podporą totalitarnej dyktatury”.

klasową z interesem, a nawet dobrem wspólnym Polaków. W tym sensie odtwarzają oni schemat władzy, w którym demokracja oznacza przede wszystkim uznanie jednej klasy politycznej broniącej interesu partykularnego i ograniczenie wyboru politycznego pozostawionego obywatelom. W praktyce oznacza to zachowanie Polski w obszarze peryferyjności w zamian za grant i prestiż. Inaczej mówiąc, chodzi o zgodę na rezygnację przez Polskę ze statusu „osoby politycznej”. Status ten można zachować jedynie, posiadając obszar wolności wewnętrznej, bez niej państwo zostaje zredukowane do szerokiego obszaru bytów „społeczeństwa obywatelskiego” (idąc za Heglem – niepolitycznego), które nie posiadają własnego życia/racjonalności, ale są zarządzane z poziomu biurokracji europejskiej, czyli kolejnego narzędzia w ręku elit politycznych, zachowujących swoiście i nowocześnie rozumiany charakter *societas perfecta*, rozpoznawany właśnie poprzez wolność wewnętrzną/suwerenność i zdolność prowadzenia polityki w obszarze wyznaczanym przez metafory „ciała” i „maszyny”. Co oznaczają te metafory? Abstrahując od formy narodowej – integralną sprawność.

Transformacja zatem uczyniła z Polski narzędzie i dała nam narzędzia, którymi się posługujemy, nie rozumiejąc ich działania, nie mając wpływu na ich celowe ukierunkowanie. Dzisiaj, gdy coraz mocniej dostrzegamy ten obraz, pojawia się potrzeba wcielenia polskiego logosu/formy/racjonalności w państwo, o którym od dawna – choć nie zawsze wyraźnie – mówiono, że nie jest przez Polaków odzyskane. Jeśli w centrum polskiej racjonalności jest chrzest z roku 966, który nadał formę polskości mocniejszą w dziejach od państwa, to znamieniem naszej racjonalności

powinna być sprawiedliwość społeczna – przeciwko komunizmowi i liberalizmowi¹⁰. Jednocześnie najbardziej zasadniczym zwrotem Polski ku sobie, ku własnemu dobru byłoby odejście od polityki depopulacyjnej, stanowiącej charakterystyczny znak dominacji obcych interesów, pracy dla innych i jedynie administracyjnego, a nie politycznego charakteru dotychczasowych polskich rządów.

Centroprawica

Na prawicy również wyrosli cynicy, wyrosli też ludzie resentymentu, ale jest też nowe pokolenie tych, którzy uformowali swoje oczekiwania na języku suwerenności. Ich obecność może powstrzymać inercję i zmusić do działania także cyników z Prawa i Sprawiedliwości, ponieważ ci zaczną zdawać sobie sprawę, że ich kariery zależą od prowadzenia polityki ambitnej¹¹.

Polską jest zatem doprowadzenie do tego, by państwo – w różnych obszarach swojej działalności, nie występowało przeciwko narodowi i obiektywnej normie. Państwo nie może zezwalać na zabijanie słabych, na krzywdę ubogich, czynioną pod hasłem wolności ekonomicznej, lub krzywdzenie rodzin, jakim jest rozdzielanie rodziców od dzieci z powodu ubóstwa, za które to praktyki odpowiedzialność ostatecznie ponosi państwo. Nie może się ostać królestwo wewnętrznie podzielone”, *Odzyskanie suwerenności wciąż przed nami*.

¹¹ Wewnątrz problemy prawicy opisał trafnie przed laty na łamach „Christianitas” Marek Jurek: „Bardzo wielu Polaków nie chce popierać szansy, by Polska broniła zasad cywilizacji chrześcijańskiej z jednego, bardzo przyziemnego powodu. Iść pod prąd to rezygnować z przyjemności myślenia tak jak większość naokoło. To stanie obok wirtualnego uczestnictwa w wielkich «dramatach medialno-politycznych», które codziennie relacjonują serwisy informacyjne. Jest bardzo przyjemnie, nawet na imieninach u ciotki czy w środowisku znajomych, być wśród ludzi, gdzie wszyscy myślą tak samo, gdzie odruchowo reagujemy na te same dowcipy, przeżywamy te same złości, nadzieje – to są zwykłe i zrozumiałe potrzeby ludzkiego serca.

Choć wiadomo, że prawica katolicka i tak w zdecydowanej większości spraw będzie wsparciem dla radykalnej centroprawicy, użytecznym, bo bezstronnie potwierdzającym ich racje w sporach z otwartym liberalizmem – mimo to wielu wyborców katolickich woli głosować bezpośrednio na radykalną centroprawicę, zamiast na poszerzającą front na prawo od centrum prawicę katolicką. Dlaczego wyborcy ci, albo politycy o podobnych poglądach milcząco obecni w PiS, dobrowolnie wyrzekają się reprezentacji własnych poglądów i własnej odpowiedzialności? Bo oznaczałoby to właśnie porzucenie rozkoszy konformizmu – głosowania tak jak «wszyscy», przeżywania tego, co «wszyscy», słuchania tego, co «wszyscy».

Tu nie chodzi o żadną etykę odpowiedzialności, optymalizację efektu itp. Chodzi o zwyczajną potrzebę przeżywania kolektywnych emocji, której odpowiedzialność niepotrzebnie by studiowała i problematyzowała. Na tym też polega wielka tajemnica resetu polskiej polityki po 10 kwietnia i tragedii w Smoleńsku”, M. Jurek, *Wartości nienegocjowalne*, „Christianitas” nr 45-46/2011.

¹⁰ „Jednak sprawność państwa to nie wszystko. Nie można mówić o suwerenności narodu bez przywrócenia formy i treści życia narodowego. Źródłem polskiej polityczności jest przekonanie o godności ludzkiej mającej swoje źródło w łasce i rozumności, którymi historycznie został obdarzony łaćwiński zachód. Zadaniem niezmiennie stojącym przed

¹² Trafnie sytuację polskiej demografii ujął redaktor naczelny „Gościa Niedzielnego”, ks. Marek Garncarczyk w komentarzu *Pieniądże i zaufanie* (GN 3/2016, data dostępu: 15.01.2016): „Przemawiały do mnie argumenty przeciwników, że jest to proste rozdawanie pieniędzy. Zmieniłem zdanie. I to z kilku powodów. Nie można zaprzeczyć, że program 500 plus jest prostym rozdawaniem pieniędzy, ale na cel absolutnie konieczny. Jedna informacja nieodmiennie jest dla mnie szokująca. Na 224 kraje badane pod względem wskaźnika dzietności Polska znajduje się na 216 miejscu. Zrozumiałbym, gdyby nasz kraj był w połowie stawki, ale na samym końcu...? To niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Przy okazji warto postawić pytanie, co zepchnęło Polskę na skraj

przepaści i jak się to ma do naszej religijności. Przecież postulat płodności jest istotnym elementem nauki Kościoła. Jeżeli zatem pieniądze wydane w ramach projektu 500 plus przyczynią się do zwiększenia liczby urodzonych dzieci, to prawdopodobnie będą to najlepiej zainwestowane środki”.

¹³ Dobrym przykładem „precyzyjnego” i dojrzałego, biorąc pod uwagę demograficzne dane statystyczne systemu, wspierania rodzin jest system irlandzki, który łączy zasiłek na dziecko z dodatkami dla rodzin o niskich dochodach. Dokładne informacje w języku polskim można znaleźć na stronach urzędowych irlandzkich: http://www.citizensinformation.ie/pl/social_welfare/social_welfare_payments/social_welfare_payments_to_families_and_

Punkt wyjścia, nie dojścia

Być może wiadomości docierające do opinii publicznej dotyczące projektów polityki prorodzinnej i jej kluczowego programu źle świadczą przede wszystkim o polityce informacyjnej rządu, ponieważ są one jednoznacznie interpretowane, albo jako próba uniknięcia realizacji kosztownej obietnicy, lub jako próba realizacji postulatu, na który Polski nie stać – postulatu nieracjonalnego. Tymczasem nawet w zupełnie *explicite* pozbawionej metafizyki logice nowoczesnego państwa widać, że są to raczej zmagania pomiędzy wymogami pragmatyki i strategii. Pragmatyki, czyli bilansu ekonomicznego i politycznego w perspektywie budżetu na rok 2016, ale i kolejnych budżetów oraz wyborów; strategii, czyli rozwiązania największego problemu państwa w perspektywie kilku dziesięcioleci, a nawet jego dalszego trwania w ogóle, czyli kryzysu demograficznego¹². Szczęśliwie te dwa rachunki w pewnej mierze się nakładają. Podjęte przez rząd Beaty Szydło zobowiązanie zawarte w programie „Rodzina 500+” będzie trudne do likwidacji przez kolejne rządy właśnie ze względu na zwykle dominującą w polityce perspektywę pragmatyczną i prosty rachunek polityczny. Żadne społeczeństwo nie lubi przecież, gdy mu się coś zabiera. Oczywiście jeśli program „Rodzina 500+” miałby nie spełnić oczekiwań i nie zmieniłby dynamiki demograficznej w Polsce, wtedy jego likwidacja będzie łatwiejsza. Mimo to będzie wymagała znacznych zabiegów i energii politycznej. Jeśli jednak, mówiąc kolokwialnie, demografia ruszyłaby z miejsca, „Rodzina 500+” może stać się początkiem budowania znacznie już poważniejszych i precyzyjnych narzędzi odwracających w Polsce trend wymierania społeczeństwa i, nie bójmy się tego słowa, narodu, na którego istnieniu opiera się nasze państwo i którym my po prostu jesteśmy¹³. „Rodzina 500+” jest dopiero punktem wyjścia, razem

z rozrastającym się zasięgiem suwerenności musi nastąpić rozrost nie tylko woli wybijającej z ukrytego źródła polskiej racjonalności politycznej, która objawia się w obecnym projekcie, ale i racjonalności jawnej i suwerennej, optymalizującej działanie państwa w zakresie ochrony i rozwoju narodu.

Koszt polityki prorodzinnej – prowadzonej na serio – może wydawać się ogromny. Jednak, i trzeba tę sprawę postawić jasno – jest to koszt naszego dalszego istnienia. Trudno sobie wyobrazić istnienie Polski poza władzą polskiego narodu. Nie dysponujemy aparatem administracyjnym, instytucjonalnym, obyczajowym (w sensie obyczajów politycznych), który mógłby być godzien pozazdroszczenia i który mógłby być przedmiotem zainteresowania ludzi napływowych i kształtującej się z nich siły politycznej. Nie dysponujemy też zasobami kapitału i ogólną zamożnością. Zatem zanikanie Polaków będzie oznaczało z czasem ich coraz głębszą wasalizację, dalszą marginalizację z zyskiem dla innych, a w perspektywie (być może na drodze niekojarzonej dziś z działaniami wojennymi) wchłonięcie przez inne polityczne byty, których siły oglądamy zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie.

Udział w dobru wspólnym

W projekcie „500+” konieczne jest też zrozumienie pryncypiów – tylko one pozwolą we właściwy sposób osądzić politykę prorodziną tkwiącą w kleszczach destrukcyjnej dialektyki liberalizmu i socjalizmu. Razem z pojawiającymi się propozycjami ograniczenia programu „Rodzina 500+” przez ramy dochodowe trzeba jasno zauważyć, że rzeczywista polityka prorodzinna nie jest rodzajem zapomogi dla biednych, nie jest walką z wykluczeniem, nie jest też ideą regulującą spójność społeczny ani realizacją ogólnej zasady równości, nawet nie inwestycją, ale implementacją właściwą sprawiedliwości. Owo „500+” to sprawiedliwy udział w dobru wspólnym odpowiadający poniesionym przez rodziny nakładom w jego wytwarzanie, niezależnie od ich wyjściowej zamożności. Dlatego konieczne jest odrzucenie łączenia polityki prorodzinnej i opieki społecznej – dla dobra rodzin, ale i dla dobra całego społeczeństwa, które nie może uczyć się, że sprawiedliwość to łaskawość silnych wobec słabszych. Tego rodzaju myślenie jest spuścizną trucizny darwinizmu społecznego, jaką nasączyła nas

children/child_benefit.html oraz http://www.citizensinformation.ie/pl/social_welfare/social_welfare_payments/social_welfare_payments_to_families_and_children/family_income_supplement.html.

transformacja zainteresowana nie sprawiedliwością, ale określonym, wąsko pojmowanym rodzajem efektywności i wydajności w służbie partykularnych interesów – także interesów podmiotów zagranicznych. ■